

Moja Ameryka Konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością

Właściwie nigdy nie myślałam o wyjeździe do Ameryki. Byłam realistką, nie miałam do kogo jechać, a więc wydawało mi się to niemożliwe. Z drugiej strony, kochałam Polskę i mimo tych odwiecznych kłopotów ze wszystkim; z zaopatrzeniem, kolejkami, częściami zamiennymi itp...nigdy nie myślałam o Jej porzuceniu.

Pamiętam, jak trudno było zdobyć „cokolwiek” do jedzenia, a jeżeli już się to „coś” wystąpiło, to dobrze trzeba się było nagimnastykować, aby wyczarować z tego jakiś obiad, a nawet przyjąć gości. Doszłam do niezłej wprawy w tym temacie i jedyne co oparło się mojej fantazji, to szary papier pakowy w pociętych arkuszach, i ocet zalegające lady sklepowe.

Szycie i dzianiny robione na drutach też nie były mi obce.

Pamiętam też takie wcześniejsze „wielkie wydarzenie” jak Tata wrócił, kiedyś do domu z 10-ciomą rolkami papieru toaletowego zawieszonymi na szyi. Jak nam później opowiadał, szedł do domu dwa razy dłużej, bo wszyscy go zaczepiali i pytali gdzie ten papier zdobył.

Ale w Polsce miałam swój mały świat; męża, mieszkanie w blokach, rodzinę, przyjaciół, ukończone studia, pracę, samochód, możliwość realizowania swojego hobby, spływy kajakowe, wyjazdy na grzyby, ryby, narty, do opery, z czasem nawet za pobliskie granice.

Miałam też swoich ulubionych aktorów, piosenkarzy, programy radiowe i telewizyjne a „60 minut na godzinę”, „Kabaret Starszych Panów”, Opera i poniedziałkowy Teatr Telewizji...i wiele innych...były dla mnie prawdziwym świętem. Uwielbiałam polskie kino i muzykę filmową.

Kochałam to wszystko i wydawało mi się, że co jak co, ale mnie na pewno emigracja nie grozi.

Nie chciałabym przez to powiedzieć, że dla mnie, życie w „komunie” to był szczyt szczęścia. Ja tylko starałam się wyłapywać promyki słońca w szarzyźnie tej komunistycznej, szczelnie zamkniętej rzeczywistości, cieszyć się z tego co mam, a w sytuacjach naprawdę trudnych robić wszystko, co możliwe, aby wkomponować się w to co jest i....funkcjonować w tym w miarę bez bólu.

Ameryka jednakże, jako taka, nie była mi tak całkiem obojętna. Docierały przecież stamtąd filmy, książki a nawet muzyka jazzowa. Ukazywały one inną, lepszą rzeczywistość. Zmęczona nieraz, tym ciągłym zdobywaniem i walką o przetrwanie, wierzyłam, że Ameryka, to takie miejsce, gdzie spełniają się wszystkie ludzkie życzenia. Jawiła mi się jako kraina marzeń. Cokolwiek chcesz, czy potrzebujesz, tam możesz po prostu mieć. Pamiętam jak przy jakiejś burzliwej dyskusji w pracy na temat Ameryki

powiedziałam, że „to dobrze, że są takie miejsca gdzie....ludzie żyją jak ludzie....bo dopóki są takie miejsca na ziemi, to dla nas jest nadzieja zmiany na lepsze”.

Ameryka była dla mnie takim światłem w tunelu. Światłem dalekim, niedostępnym, ale....świecącym.

...ale jak to mówią.....nigdy nie mów nigdy.

Nadszedł taki moment, kiedy moje życie wywróciło się do góry nogami.

Po 21 latach małżeństwa - rozwód, w kilka miesięcy później śmierć mamy i moja ogromna fascynacja medycyną alternatywną i ezoteryką, w którą zaangażowałam się tak dalece, że porzuciłam wyuczony zawód - inż. elektryka, okazała się niebezpieczną i bolesną ślepą uliczką.

Bóg upomniał się o mnie i zawrócił ze tej drogi¹. Moja fascynacja legła w gruzach jak papierowy domek z kart. Stało się teraz dla mnie jasne, że po raz trzeci muszę zaczynać wszystko od nowa. Tylko teraz chciałam to swoje życie oprzeć na prawdziwych, Bożych Wartościach, które zaowocują na wieczność. Stało się dla mnie oczywistym, że „dziś” pracuję na „jutro”, ale moja wiedza na ten temat jak to zrobić, była „cienka”

W tym właśnie tak burzliwym i bolesnym momencie, kiedy straciłam grunt pod nogami na wszystkich możliwych frontach, przyszło zaproszenie od przyjaciół z Kanady. Kiedyś, zanim wyemigrowali mieszkali w tym samym bloku, kilka pięter nad nami. Teraz zapraszali mnie do siebie.

Potrzebowałam zmiany jak powietrza, potrzebowałam dystansu, od tego w czym tkwiłam i czasu, aby zebrać myśli, złapać oddech i odnaleźć nowy grunt pod nogami.

Nie zastanawiałam się długo nad tą decyzją.

Tylko, że Kanada była dla mnie białą plamą, nie miałam nawet marzeń z nią związanych. Jedno co wiedziałam na pewno, to to, że nie mogę tam zostać dłużej bez przysparzania kłopotu moim przyjaciołom. A tego akurat nie chciałam.

Nie miałam też pewności czy w dwa miesiące się pozbieram. Nie ukrywam, że chciałam „gdzieś” zostać na dłużej.

Ktoś mi doradził, aby tak przy okazji Kanady, starać się o drugą wizę, do Ameryki. To było odkrywcze. Z niedowierzaniem spróbowałam.

W ambasadach wystąpiłam pod tytułem „biznesmenka” miałam przecież otwarte /jeszcze przez moment/ „Centrum Terapii Naturalnej”...i...cud nad cudami...dostałam...obie wizy!

Wyjazd do Ameryki stał się realny.

Przyjaciele robili wszystko, stanęli na głowie aby mi dogodzić i po dwóch miesiącach cudownych wakacji i pewnego lipcowego bodajże popołudnia, wysiadłam z nocnego

¹ Napisałam świadectwo mojego nawrócenia „Czy w każdym niebie mieszka Bóg”.
Poniższy link.

pociągu na głównym dworcu w Chicago. Zaczęłam rozglądać się za taksówką, która zawiezie mnie do ludzi, którzy odwazyli się przyjąć pod swój dach, zupełnie obcą osobę. W ręku miałam kartkę z ich nazwiskiem, adresem i numerem telefonu. Miałam 46 lat i zaczynałam nowe życie.

Zabawna konfrontacja marzeń.

Zabawna? Tak, ponieważ kilka drobnych spostrzeżeń już na początku, wprowadziło je na właściwe tory.

Pierwszą ciekawostką, taką na wejście, był łańcuszek zwisający z żyrandola na środku sufitu. Aby zapalić światło nie włącza się kontaktu zaraz przy drzwiach wejściowych, ale maszeruje po ciemku, przez pół pokoju, aby pociągnąć za łańcuszek.

Kiedy patrzyłam na domy cienkie i długie jak „jamniki” oddalone od siebie na odległość „parasola”, często bez okien na długich ścianach, bez korytarzy, ale za to z licznymi pokojami przechodnimi, to zastanawiałam się, dlaczego tu tak ciasno, dlaczego ci ludzie tak się męczą i gdzie się podziały te ogromne połacie ziemi wielkiej Ameryki?

Pierwsze miejsce w moich „studiach porównawczych” zajęło okno na korbkę. Pokręcając korbką zamykamy lub otwieramy okno.

Kiedy to zobaczyłam, pomyślałam sobie, Boże, stało się. Pewnie pociąg, w którym tak beztrudnie sobie spałam wpadł w jakąś „dziurę czasową” i wylądowała w „amerykańskim średniowieczu”.

Zmagania z przekręceniem małej śrubki, aby zapalić lampę utwierdzały mnie tylko w tym przekonaniu.

Inny odcień marzeń, czyli słoń i ucho igielne.

Pamiętam jak mieliśmy w domu ulubione igły do ręcznego szycia. Nie wiem skąd się wzięły, pewnie dotarły zza jakiejś granicy i rodzice kupili. Było to kilka opakowań takich samych bardzo pięknych igieł. Miały wspaniały kształt, były cienkie i długieeeee, ale też na tyle grube, że nawleczenie nitki, nie mówiąc o szyciu, było prawdziwą przyjemnością. Z biegiem czasu igieł ubywało i zaczęły być na „wagę złota”. Stało się oczywistym, że rodzice starali się dokupić ich więceji...okazało się to niemożliwe, marzeniem ściętej głowy.

Po wielu latach ja sama kontynuowałam poszukiwania igieł i umieszczałam je zawsze na pierwszym miejscu listy zakupów, ilekroć miałam okazję wyjazdu za granicę. Bez skutku. Bodajże w RFN udało mi się dostać bardzo podobne. I to wszystko.

Nadszedł jednak czas, kiedy moje marzenia miały się zrealizować, bo to tu, w Ameryce w krainie marzeń, byłam bardziej niż pewna, że je kupię.

Pierwsze wyjście do sklepu i....kompletne fiasko. To co zobaczyłam to prawdziwe koszmarki. Krótkie, grube, albo krótkie cienkie i z malusieńkim uchem.

To ten drobny epizod ostatecznie wprowadził moje marzenia na właściwe tory.

Kiedy tak stałam z tym karnecikiem igieł w ręce dotarło do mnie, że nawet w Ameryce nie spełniają się wszystkie marzenia.

Rozejrzałam się naokoło, zobaczyłam ten ogrom różnorodnego towaru, który ktoś wyprodukował i chce sprzedać i zrozumiałam siłę i moc reklamy.

Pożytek z niespełnionych marzeń czyli....co cię nie zabije to cię wzmocni.

Tak, część moich marzeń się nie spełniła i bardzo dobrze. Dzięki temu pozbyłam się różowych okularów, przez które, jak wiadomo, prawdy raczej nie widać i zaczęłam poznawać Amerykę taką, jaką była naprawdę.

Zaczęłam od tego, że po krótkim czasie nie ważne było czy Polska czy Ameryka zwyciężyła w moich „studiach porównawczych”. Bardziej pochłaniało mnie obserwowanie, jak ta sama myśl, pomysł, czy potrzeba zrealizowana jest tutaj, a jak w Polsce. Niby to samo a zupełnie inaczej.

Było to dla mnie w jakiś sposób odkrywczcze, lubiłam te porównania.

Co zawdzięczam Ameryce?

Dziękuję Ameryce, że przede wszystkim dała mi szansę pozbierania się i możliwość całkowitego odcięcia się od moich zgubnych fascynacji.

Była na tyle daleko od Polski, że nie byłam w stanie skusić się wyskoczyć na jakiś weekendowy kursik, który z pozoru wyglądałby niewinnie a mógł sprowadzić mnie na manowce.

Była też bardzo blisko, ponieważ w Chicago mamy taką małą Polskę: polskie radio, polską TV, prasę, książki, żywność...dzięki temu czujemy się trochę jak w domu. Czulałam się bezpiecznie i dało mi to niewątpliwie komfort odnalezienia na nowo siebie samej, tak jak tego pragnęłam, bo to było dla mnie najważniejsze.

Na krótko przed przyjazdem tutaj, miałam możliwość odwiedzenia RFN, Anglii i Kanady. Na ich tle Ameryka wydała mi się jak rwąca rzeka. Wartka, mieniąca się i pełna możliwości. Umiałam to docenić i byłam gotowa, aby je wykorzystać.

Podczas, gdy w Polsce nastała moda na utracanie „wczesnych staruszków” i kłopoty z pracą, tutaj nie dość, że mam możliwość pracy to jeszcze mogę rozwijać swoje nowe zainteresowania.

Stale się uczę, kończę jakieś kursy, korzystam z publikacji, książek i internetu.

Moje nowe życie to nowa fascynacja, teologią, religioznawstwem, psychologią, poezją i innymi dziedzinami sztuki.

Być może, że w przyszłym roku zacznę studia teologiczne.

Ameryka to takie miejsce, gdzie w każdym wieku można zacząć od nowa.